

□ Czas czytania: 4 min.

...bez granic, jak piasek na morskim brzegu. Każdego dnia czuję bicie tego serca.

Ma na imię Alberto. Jej, młodej matki, imienia nie znam.

On mieszka w Peru. Ona mieszka w Hyderabad (Indie).

Te dwie historie, dwa życia, łączy to, że poznałem je podczas mojej posługi, Alberto w Peru, a młodą matkę w Indiach tydzień później.

To, co ich łączy, to cenna złota nić Bożej czułości poprzez przyjęcie, jakiego udzielił im ksiądz Bosko w jednym ze swoich domów. Serce salezjanów zmieniło ich życie, ratując je z sytuacji ubóstwa i być może śmierci, na którą byli skazani. I myślę, że mogę powiedzieć, że owoc paschy Jezusa przechodzi również przez ludzkie gesty, które leczą i ratują.

Oto te historie.

Wdzięczny młody człowiek

Kilka tygodni temu byłem w Huancayo (Peru). Miałem właśnie odprawić Eucharystię z ponad 680 młodymi ludźmi z salezjańskiego ruchu młodzieżowego prowincji oraz kilkuset mieszkańcami tego miasta, położonego 3200 metrów nad poziomem morza w wysokich górach Peru, i powiedziano mi, że były student chce się ze mną spotkać. Dotarcie tam zajęło mu prawie pięć godzin, a powrót kolejne pięć godzin.

„Bardzo chętnie się z nim spotkam i podziękuję mu za ten miły gest” – odpowiedziałam.

Tuż przed rozpoczęciem Eucharystii ten młody człowiek podszedł do mnie i powiedział, że bardzo się cieszy, że może mnie powitać. „Mam na imię Alberto i chciałem odbyć tę podróż, aby osobiście podziękować księdzu Bosko, ponieważ salezianie uratowali mi życie”.

Podziękowałem mu i zapytałem, dlaczego mi to mówi. Kontynuował swoje świadectwo, a każde słowo coraz bardziej poruszało moje serce. Powiedział mi, że był trudnym chłopcem, że sprawił wiele kłopotów salezjanom, którzy zabrali go do jednego z domów dla trudnej młodzieży. Dodał, że mieliby dziesiątki powodów, aby się go pozbyć, ponieważ „byłem biednym diabłem i mogłem się tylko spodziewać czegoś złego od świata i od życia, ale oni byli bardzo cierpliwi wobec mnie”.

I kontynuował: „Udało mi się, kontynuowałem naukę i mimo mojego buntu, raz po raz dawali mi nowe możliwości i dzisiaj mam rodzinę, mam piękną córeczkę i jestem edukatorem społecznym”. Gdyby nie to, co zrobili dla mnie salezianie, moje życie byłoby zupełnie inne, może nawet już by się skończyło”.

Zaniemówiłem i byłem bardzo wzruszony. Powiedziałem mu, że jestem bardzo wdzięczny za jego gest, jego słowa i jego drogę, i że jego świadectwo życia jest największą satysfakcją dla salezjańskiego serca.

Wykonał dyskretny gest i wskazał mi salezjanina, który był tam w tym czasie, który był jednym z jego wychowawców i jednym z tych, którzy byli wobec niego bardzo cierpliwi. Salezjanin podszedł uśmiechnięty i, myślę, że z wielką radością w sercu, potwierdził mi, że tak właśnie było. Zjedliśmy razem obiad, po czym Alberto wrócił do swojej rodziny.

Szczęśliwa mama

Pięć dni po tym spotkaniu byłem w południowych Indiach, w stanie Hyderabad. Pośród wielu powitań i zajęć, pewnego popołudnia powiedziano mi, że mam gościa. Była to młoda matka z sześciomiesięczną córką, która czekała na mnie w recepcji domu salezjańskiego. Chciała się ze mną przywitać.

Dziecko było piękne, a ponieważ nie było przestraszone, nie mogłem się oprzeć, aby nie wziąć go na ramiona i nie pobłogosławić. Zrobiliśmy kilka pamiątkowych zdjęć, tak jak życzyła sobie młoda matka. To było wszystko.

Nie było wielu słów, ale ta historia była bolesna i piękna zarazem. Ta młoda matka była kiedyś „wyrzuconym” dzieckiem, żyjącym na ulicy bez nikogo. Łatwo sobie wyobrazić jej los.

Ale pewnego dnia, dzięki opatrności dobrego Boga, została znaleziona przez salezjanina, który zaczął przygarniać dzieci ulicy w stanie Hyderabad. Była jedną z dziewczynek, którym udało się znaleźć dom razem z innymi. Wraz z wychowawcami bracia salezjanie dbali o to, aby wszystkie ich podstawowe potrzeby były zaspokojone i aby były zadbane.

Tak więc ta mała dziewczynka, zabrana z ulicy, mogła ponownie rozkwitnąć, rozpocząć podróż życiową, która doprowadziła ją do tego, że dziś jest żoną i matką oraz, co jest dla mnie niezwykle cenne, nauczycielką w dużej szkole salezjańskiej, w której wtedy byliśmy.

Nie mogłem przestać myśleć, ile jeszcze takich istnień, uratowanych od rozpacz i udręki, jest w świecie salezjańskim, ile moich dobrych braci i sióstr salezjanów klęka codziennie, aby „umyć nogi” małym i dużym Jezusom na naszych ulicach.

To jest klucz do tego, jak wiele istnień może się zmienić na lepsze.

Jakże w tych dwóch faktach nie dostrzec „Bożego palca”, który wyciąga do nas rękę poprzez dobro, które możemy uczynić? I tego, że my wszyscy, w każdej części świata, w każdej sytuacji życiowej i zawodowej, wierzymy w człowieczeństwo i wierzymy w godność każdego człowieka, i wierzymy, że musimy nadal budować lepszy świat.

Piszę to, ponieważ dobre wiadomości muszą być również rozpowszechniane. Złe wiadomości rozprzestrzeniają się same lub znajdują zainteresowanych. Te dwie prawdziwe historie, tak bliskie mi w czasie, potwierdzają po raz tysięczny, jak cenne jest dobro, które wszyscy razem staramy się czynić.

Ty wyraża w sposób poetycki pewna salezjańska piosenka: „Mówię, że Jan Bosko żyje, nie myśl, że Ojciec może nas opuścić. On nie umarł, Ojciec żyje, zawsze był i pozostaje; ten, który opiekował się opuszczonymi i osieroconymi młodymi ludźmi, dziećmi ulicy, samotnymi, którym pomógł się zmienić... Mówię, że Jan Bosko żyje i podjął tysiące inicjatyw. Czy nie widzisz jego ojcowskiej troski, który pracuje teraz na całym świecie? Czy nie słyszysz, jak intonuje swoją pieśń do tylu córek, tylu synów, którzy noszą w sobie odbicia Ojca, którego kochamy? On żyje, kiedy jego salezjanie są tacy”.

Życzę wszystkim błogosławionych Świąt Wielkanocnych, a tym, którzy czują się oddaleni od tej pewności wiary, życzę wszystkiego dobrego, z wielką serdecznością.